



Chorwacja – maj 2007
by
Marcin Koc – skipper s/y Rasotica

Od ostatniego maja minął prawie rok. Tak naprawdę szybciej niż byśmy tego chcieli. A może dokładnie w tempie, w jakim powinien minąć? Myślę, że dziś nie musimy się nad tym zastanawiać, ponieważ nasze głowy zaprzęta kolejny wyjazd na chorwacką majówkę. Za kilka dni stanę za kołem wyczekiwanego od dawna Elana 434 Impression i ponownie zmierzę się z czasem kapryśną, wiosenną aurą Adriatyku.

W załodze liczącej siedem osób mam trójkę, dla której będzie to pierwsze spotkanie z żeglarstwem. Wierzymy, że zapał i chęć przeżycia morskiej przygody da im siłę zwycięskiego uśmiechu po nierównej walce z rozkołyssem. Jedziemy dwoma samochodami i przy okazji postanowiliśmy sprawdzić nową trasę z Poznania – przez Niemcy. Do Kašteli skąd czarterujemy jachty jest co prawda 300 km dalej, ale mamy czas i liczymy na płynną jazdę autostradami.

O czym byśmy jednak opowiadali gdyby nie niespodzianki... Kilka dni przed wyjazdem dowiadujemy się, że ze względów technicznych nie dostaniemy Elanów. W ramach rekompensaty otrzymujemy propozycję czarteru Bawarii 46. Cóż, może następnym razem się uda.

Wyposażeni we wszystkie niezbędne rzeczy ruszamy w piątek ku turkusowym wodom Adriatyku. Droga mija bezproblemowo i rankiem cieszymy się promieniami „chorwackiego” słońca. Około 1100 jako pierwsi docieramy do mariny i odbieramy jacht. Nasza jednostka nosi imię s/y Rasotica (brązowy marmur wydobywany na wyspie Brač). W czwórkę zajmujemy kajuty i czekamy na naszych kolegów, którzy zwiedzają „kulinarną” Słowenię i Chorwację, co zdecydowanie wydłuża czas dotarcia do mariny. Nie stanowi to jednak problemu, na dziś w planach tylko zaokrętowanie. W morze wyjdziemy następnego dnia rano.

Nasz jacht jest własnością firmy BavAdria. Check in załatwiam szybko i ku mojemu zdziwieniu (i zadowoleniu, Leo – pracownik firmy), wręcza mi telefon i informuje,

że to do kontaktu i prognoz wysyłanych sms'em. Miłe i praktyczne. Późnym popołudniem przyjeżdża reszta załogi i po ich zaokrętowaniu rozpoczynamy pierwszy wieczór na jachcie.

Wychodzimy w morze względnie rano i około 1100 żegnamy Kaštelanski Zaljev. Robert i część jachtów z naszej „armady” kieruje się na Hvar (płynęli z Mariny), my wraz z Satkiem kierujemy się na przejście Šolta – Brač. Celem na niedzielny wieczór jest wyspa Vis, skąd mamy kilka mil na Biševo, gdzie chcemy obejrzeć „Błękitną Grotę”.

Warunki pogodowe bardziej słoneczne niż wietrzne. Za przejściem mamy równe 4B z tendencją bardziej do spadku niż wzrostu. Na pierwszy dzień z nową załogą pogoda super. Czas poświęcamy na zgłębianie jachtowych nazw i zawiłości sterowania. Im bliżej Vis'u, tym wiatr słabszy. Satko zaprzął do pracy volvo penta i zniknął za cyplem zasłaniającym od północnego zachodu Komižę, my próbujemy opanować sztukę zwrotów na niknącym wietrze.

Dochodzimy do miasta około godziny 1700. Stajemy w porcie na kotwicy, ale po krótkim rekonesansie podejmuję decyzję o opuszczeniu miasta i nocowaniu w zatoce na Biševie. Uważam, że kotwica zamiast mooringu i publiczna płatna toaleta są wystarczającymi bodźcami, by nocować bez opłat w zatoce.

Wypływamy i w ciągu godziny jesteśmy na wyspie. Sprawdzamy dno w zatoce przy „Błękitnej Grocie”, a na nocleg kierujemy się do sąsiedniej zatoki Mezuporat. Cumujemy przy marmurowym(!) piersie, cicho i bezpiecznie. Oprócz nas są jeszcze dwa jachty, po zmroku wpływają jeszcze dwa i stają na kotwicy (piers mieści trzy do czterech jachtów, a my się rozpychamy naszą „czterdziestkąszóstką”). Na nabrzeżu stoi kilka osób, między innymi autochton, który pomagał nam cumować. Jak się okazuje jest właścicielem lokalnej winnicy, co skutkuje nocną jazdą jego xletnim land cruiserem (z jednym światłem), po krętych drózkach i zakupem kilku butelek „bišovskiego plovaca” (na lądzie plavac, więc mamy tu miejscowy dialekt) i rakiji. Wieczorną biesiadę czas zacząć.

Rano jesteśmy przy grocie. Czekamy na słońce, ale ono jak na złość, znika za chmurami. Mamy też fale, czyli wszystko to co uniemożliwia wpłynięcie do groty. Andrzej z córką próbują zobaczyć „czarną dziurę”, ale rezygnują i wracają na jacht. Pojawia się pan na szalupie, którą wozi chętnych do zobaczenia groty, oraz kilka jachtów. Rozmawiamy z Satkiem i decydujemy się na opuszczenie wyspy. Bierzemy kurs na Korčulę i stawiamy

żagle. Dziś mamy żeglarską pogodę. Wiatr osiąga dobre 5-6B, rozkołys robi się na tyle intensywny, że bryzgi wody witają na fordecku. Dwa halsy i wchodzimy idealnie w wejście Kanału Peljeńskiego. Wiatr się wzmacnia. Mamy tu efekt dyszy, więc sprawdzamy, czy „zmoczymy” żagle. Udaje się, widząc światła miasta zamieniamy żagle na silnik i tniemy wodę kanału. Cały dzień prawdziwego żeglowania. Po zmroku stajemy przy kei na Korčuli. Wita nas Robert i w ten sposób wszystkie jachty mamy w jednej marinie. Powiewają flagi Squadron'u, a przed nami wieczór.

Następnego dnia rano rozpoczynamy zwiedzanie starego miasta. Idziemy do domu Marco Polo, zanurzamy się w wąskie uliczki Korčuli. W planach mieliśmy Dubrovnik, ale pogoda z zapowiedzi burzy zmieniła się w upalną flautę i po naradzie wybór pada na Jelsę na wyspie Hvar. Moja załoga po wczorajszych 50Nm ma ochotę trochę „popłażować”, a pogoda tylko temu sprzyja.

Wyruszamy na silniku około godziny 1200 w kierunku Hvaru. Żegnamy się z Robertem, ponieważ reszta Squadronu płynie na Vis (tym razem miasto Vis), skąd wczoraj przyплыliśmy. W kanale mijamy wielki angielski wycieczkowiec i popijając kawę płyniemy przed siebie. Wiatr 0B...

Mijając północny kraniec wyspy Pelješac postanawiamy urozmaicić trochę naszą drogę. Na pierwszy ogień idzie ponton. Ewa i Ania mają „quicksilvera”, a my testujemy prędkość jachtu na silniku. Wejście na maszt kończy program artystyczny i wracamy do monotonii ciszy zaplecionej w mruczenie silnika.

Po obiedzie pogoda psuje się na tyle, że zakładamy kurtki. Jak zwykle w maju na wysokości Pokrivenika spotykamy żerujące delfiny, które towarzyszą nam przez chwilę (pasztet z kurczaka znika tradycyjnie w wodzie), a następnie znikają gdzieś w głębi. Siąpi drobny deszcz, a przed nami jeszcze kilka mil.

Do miasta wchodzimy około 1700. Stajemy przy nabrzeżu miejskim ze względu na bliskość sklepów i restauracji. Jeden z naszych dwóch Piotrów śpi, więc postanawiamy zrobić mu dowcip. Uderzamy butami w burzę (spał na rufie na prawej burcie), robimy duży hałas, podczas gdy drugi z Piotrów wpadł do kabiny z kamizelką ratunkową i okrzykiem „wstawaj, toniemy!”. Przyznam, że pomimo snu reakcja była natychmiastowa, zdziwienie jeszcze większe i śmiechu co niemiara. Kolejną niespodzianką, tym razem dla wszystkich, był właściciel cukierni, który z uśmiechem przywitał nas polskim

„dzień dobry, zapraszam na lody...”. Pomimo coraz większych chmur, nam świeciło słońce.

Następnego dnia od rana ruszyliśmy na zakupy i zwiedzanie Jelsy. Piotr zakupił sprzęt wędkarski, wszyscy zaopatrzyliśmy się w gadgety ze sklepu „More” i w godzinach południowych opuściliśmy miasto żegnani przez cukiernika i Jurinę – oficera portowego. Naszym celem na dziś jest bunkier w zatoce Smrka z postojem na Bolu.

Wiatru mieliśmy na tyle by postawić żagle i próbować żeglować. Jurek walczył ze zwrotami, reszta załogi korzystała ze słońca i kulinariów różnego typu. Stanęliśmy na kotwicy od północnej strony Zlatni’ego Rat’u i poszliśmy w piątkę na spacer po marmurowej promenadzie do miasta Bol. Wieczorem stanęliśmy na nocleg przy bunkrze. Pogoda zaczęła się zmieniać, jacht tańczył całą noc. Około godziny 0500 poprawialiśmy kotwicę. Deszcz rozpadał się na dobre godzinę później.

Pomimo mało sprzyjających warunków namówiłem Jurka i Piotra na zwiedzanie „dziury w skale”, czyli postjugosławiańskiego bunkra. Przyplacili to kompletnie mokrymi rzeczami, ale miny mieli zadowolone.

Wychodzimy z bunkra i kierujemy się do „naszej” zatoki na Solcie. Wiatr się wzmaga, pada deszcz. Mamy dobre 5B, stan morza oceniam na 3. telefonicznie dostaliśmy ostrzeżenie o nadchodzącym Yugo. Dopływamy do zatoki Tatinja, ale nie decyduję się na podejście 46tką w nasze stałe miejsce. Fala i wiatr są zbyt duże. W czasie kiedy my kręcimy kółka, Andrzej zrzuca ponton i płynie po rozmaryn. Kiedy jest z powrotem na pokładzie, stawiamy żagle i idziemy kursem na Maslinicę, nasz ostatni postój na trasie.

Do miasteczka wchodzimy w deszczu. Wita nas znajomy Chorwat w czapce z białym orłem. Cumujemy i można złapać oddech. Chwilę po nas wchodzi Anglcy, których wzmagający się wiatr spycha na nasz jacht. Tak zwane „szybkie ruchy” i oba jachty są bezpieczne. Idziemy na obiad. Trafiamy do restauracji po drugiej stronie basenu portowego i czekamy na obiad ponad godzinę. Niekoniecznie wszystko jest smaczne. Jesteśmy chyba jednymi pierwszych klientów w sezonie, ech los odkrywcy. Kręcimy się po otulonym mżawką miasteczku wraz z Andrzejem i dziewczynami siadamy w drugiej restauracji. Tu wszystko jest dobrze. Grill na zewnątrz szczuje nas zapachami, ale zamawiamy tylko kawę, oraz alkohol według upodobań i na tym kończymy. Już po zmroku wracamy na jacht.

Sprawdzam telefon armatora, dzwonił Leo. Łączymy się ponownie i... nie wracajcie w piątek, schodzi yugo, czekamy na was w sobotę. Można i tak, ale yugo potrafi wiać dłużej niż dzień. Decyzję kiedy ruszymy pozostawiam do rana, pomagam umocować ponton sąsiadom (jak się okazuje Australijczykom z Sydney) i wracam do zajęć mesowych...

Rano, biorąc pod uwagę możliwy czas trwania takiej pogody postanawiamy ze świeżą prognozą ruszyć do macierzystej mariny. Idziemy na żaglach bajdewindem prawego halsu. Dziób naszej „bavarki” nurkuje w fali, wiatr osiąga prędkość 28 węzłów. Gdyby nie padający coraz bardziej deszcz byłoby rewelacyjnie. Ale gdyby zadać pytanie; co ma padać jak nie deszcz?.. jest rewelacyjnie.

Jacht kładzie się na burcie, wiatr wzmacnia swoją siłę. Obserwuję dwa jachty idące oprócz nas na żaglach i trzymam swoje w pełni postawione. Idziemy 10 węzłów, skacząc z fali na fale. Oto urok chorwackiej majówki. W połowie trasy mijamy Elana z polską banderą, idą na silniku. Pozdrawiamy się wzajemnie i płyniemy dalej. Na wejściu do Kaštelanski'ego Zaljev'u przechodzimy na baksztag i „wykręcamy” naszym jachtem 12 węzłów. Na wysokości Instytutu Oceanografii widzimy niknącego w falach Lasera, ten ma dopiero zabawę.

W odległości około mili od główek portu wchodzimy na silnik i prosto już płyniemy na stację benzynową uzupełnić bak. Przedostatnie dojście do piersu, zawsze lekko stresujące, ale konieczne. Załatwiamy to sprawnie i po chwili wchodzimy do mariny. Szczyty gór pokryte są gęstą mgłą, wanty grają na wietrze, a deszcz pada mocniej i mocniej... cudowne, niesamowite, surrealistyczne.

Rzucamy cumy. Dziękujemy sobie nawzajem za wspólnie spędzony czas. Dla jednych kolejny rejs, dla innych ten pierwszy, który pamięta się najdłużej. Przed nami pakowanie, ostatni wieczór na pokładzie i droga do Polski. Pozostaje nam uscisnąć sobie dłonie i powiedzieć; Do zobaczenia gdzieś na morskim szlaku Przyjaciele...